

Cichy bohater. "Rozmowa" z Bolesławem Polakowskim – żołnierzem Armii Krajowej w latach 1943-1944

Człowiek, o którym można śmiało rzec, że jest bohaterem narodowym. Człowiek, który nie czekał biernie na rozwój drugowojennych wypadków i nie bał się poświęcić swojego życia na ołtarzu Ojczyzny. Człowiek, który chwycił za broń i nie zawahał się wkroczyć na wojenną ścieżkę, by stoczyć bój o suwerenność i wolność Rzeczypospolitej. Walczył w oddziałach Armii Krajowej na obszarze lubelszczyzny. Brał udział w wielu akcjach sabotażowych oraz atakach zbrojnych m.in na posterunki niemieckie, konwoje czy tory kolejowe. Z Bolesławem Polakowskim rozmawia Paweł Mróz.



Paweł Mróz: Panie Bolesławie, jak wyglądały – z Pana prespektywy – realia Wielkiej Wojny?

Bolesław Polakowski: W momencie wybuchu wojny miałem 15 lat. Był to dla mnie wielki szok. Cała nasza rodzina, jak i sąsiedzi z okolicznych domostw, zbieraliśmy się wieczorami i rozprawialiśmy o tym, co nas będzie czekać. W niedługim czasie na teren naszego miasta wkroczyli Niemcy. Był to najgorszy okres w moim życiu. Przeżycie każdego następnego dnia stanowiło już ogromny sukces. Łapani,

publiczne egzekucje, brutalność Niemców i brak jakiejkolwiek empatii w stosunku do nas – to była wojenna codzienność. Jednak, w głębi serca, coraz mocniej wierzyłem w to, że okupacja hitlerowska ma się już ku końcowi. Czułem, że nie mogę na to beczynnie patrzeć. W związku z tym pod koniec roku 1943, w wieku niespełna 19 lat, wstąpiłem do oddziału Armii Krajowej, w którym dowódcą był Tadeusz Kuncewicz o pseudonimie "Podkowa".

P.M: Jak wyglądały Pana początki w partyzantce?

B.P: Szczerze mówiąc, ten okres minął bardzo szybko. Nasi przełożeni szkolili nas głównie w musztrze i posługiwaniu się bronią. Były to żmudne ćwiczenia, jednak później – w warunkach bojowych – okazały się bardzo przydatne. Oprócz tego typu przygotowań należało również zapoznać się z towarzyszami broni. Gdy po raz pierwszy ich spotkałem, bardzo się zdziwiłem. Myślałem, że będą to ludzie zmęczeni walką i okupacją, pesymistycznie nastawieni i bojący się o własną skórę. Oni byli natomiast zupełnie inni. Pogodni, przyjacielscy, pomagający sobie nawzajem, a przede wszystkim dumni z tego, że walczą o dobrą przyszłość swojego kraju. Poza tym myślałem, że będą w stosunku do mnie nieufni, bo przecież byłem "nowy". Oni jednak szybko mnie "wciągnęli" w swoje towarzystwo i już po kilku dniach staliśmy się dobrymi kolegami.

P.M: Wojsko nie składa się tylko z samych szeregowców. By dobrze funkcjonowało, potrzebny jest też sztab oficerski, którego zadania to m.in. obmyślanie taktyki, prowadzenie żołnierzy w bój, czy nawet po prostu zdobywanie dla nich pożywienia. Aby cała ta wojskowa machina dobrze działała, relacje między oficerami a zwykłymi partyzantami musiały być dobre. Jak to wyglądało w Pana przypadku?

B.P: Moim zdaniem nasze relacje układały się dosyć dobrze. Bardzo ważny w tym obszarze jest fakt, że starsi oficerowie nie wywyższali się ponad innych i nie uważali się za lepszych. Musieli oczywiście utrzymywać dyscyplinę w podległych sobie oddziałach, jednak w związku z tym, że byli powszechnie lubiani i szanowani, przychodziło im to bardzo łatwo. Ja osobiście miałem przez jakiś okres czasu na pieńku z podporucznikiem Stanisławem Mazurem "Elskim", jednak potem sytuacja wróciła do normy. Ja sam szanowałem każdego mojego dowódcę. Potem okazywało się, że w wielu różnych przypadkach było to bardzo pomocne, a czasami ratowało nawet życie.

P.M: Reasumując, wszyscy byli ze sobą zżyci, a relacje między żołnierzami były bardzo dobre. Lecz najprawdopodobniej życie w partyzantce miało też swoje wady. Czy mógłby Pan o nich opowiedzieć?

B.P: Największą – według mnie – wadą takiego sposobu życia była tęsknota za bliskimi. Prawdę mówiąc, nie było dnia, w którym jakiś żołnierz nie prosiłby o tak zwaną przepustkę. Było to pozwolenie dowódcy na opuszczenie oddziału przez danego żołnierza. Zazwyczaj czas trwania przepustki wynosił jeden bądź kilka dni. Ja wykorzystywałem moje przepustki tylko w jednym celu: by choć na chwilę zaspokoić swoją tęsknotę za rodzicami i ukochaną dziewczyną. Poza tym bardzo się o nich bałem, gdyż czasem dochodziły do mnie słuchy, że w Zwierzyńcu i Szczebrzeszynie – moim rodzinnym mieście – miały miejsce masowe aresztowania. Innym znaczącym problemem był głód i panująca w oddziałach bieda. Jedzenie zdobywaliśmy na Niemcach lub dostawaliśmy je od miejscowej ludności. Podobnie było z mundurami, bronią czy pojazdami do transportu żołnierzy. Zmorą praktycznie każdego oddziału były też warunki sanitarne. Myliśmy się porządnie raz na kilka miesięcy, zaś potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w lesie. W naszych miejscach

postojów zawsze roiło się od pcheł i wszy. Na początku było to bardzo męczące. Później jednak nie robiło to na nikim większego wrażenia. Co ciekawe, pomimo tak złych warunków bytu, nikt nie narzekał i nie żalił się na swój los. Każy był skupiony na swojej służbie Ojczyźnie, zaś to, w jakich warunkach ta służba miała się odbywać, było bez znaczenia.

P.M: Jak wszyscy doskonale wiemy, do obowiązków oddziałów Armii Krajowej na lubelszczyźnie należała walka z Ukraińcami, niemieckimi osadnikami oraz żołnierzami SS i Wermachtu. Jak wyglądały te walki?

B.P: Były to głównie drobne potyczki, jednak bywały i większe bitwy. Te pierwsze miały miejsce zazwyczaj podczas patroli. Zdobywaliśmy podczas nich lekką broń i amunicję, czasem małe zapasy żywności i inne potrzebne rzeczy. Przykładem większego starcia może być ofensywa naszych chłopców na Suchowolę, która miała miejsce 19 stycznia 1944 roku. Nas było około stu, Niemców zdecydowanie więcej. W normalnych warunkach nie mieliśmy szans na wygraną. Należy pamiętać, że Niemcy byli o wiele lepiej uzbrojeni i wyżywieni, mogli też liczyć na wsparcie z powietrza i artylerię. My natomiast mieliśmy doskonały sztab oficerski i wielką odwagę, przez co wygraliśmy i odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. Nasz oddział miał zazwyczaj ogromne szczęście, ponieważ praktycznie nigdy nie ponosiliśmy strat własnych.

P.M: Na pewno była to zasługa pańskiego dowódcy, Tadeusza Kuncewicza "Podkowy". Mógłby Pan go krótko opisać?

B.P: "Podkowa" był niesamowitym dowódcą. Zawsze był w stanie nas zmotywować i zagrzać do walki. Nigdy też nie wystawiał swoich ludzi na niebezpieczeństwo.

Przez to był szanowany przez praktycznie wszystkich żołnierzy. O każdej porze dnia i nocy można było z nim porozmawiać jak z przyjacielem. Potrafił przez to utrzymać w swoich oddziałach żelazną dyscyplinę. Gdy szliśmy do walki, "Podkowa" szedł na przedzie. Gdy z niej wracaliśmy, sprawdzał, czy wszyscy są cali i zdrowi. Poza tym swoją bohaterską postawą uratował życie niejednemu żołnierzowi. Takim pamiętają go wszyscy i takim pozostanie w moim sercu do końca życia.

P.M: Przez pewien okres czasu Pańskim dowódcą był też Hieronim Dekutowski pseudonim "Zapora", jeden z najsławniejszych partyzantów Armii Krajowej. Jak Pan go wspomina?

B.P: "Zapora" był dla nas wszystkich swego rodzaju legendą. Wiadomo o nim było w zasadzie to, że to świetnie wyszkolony żołnierz zdolny do walki w każdych warunkach. Wcześniej, to jest od marca 1943 roku służył w jednostkach "cichociemnych", zaś pod koniec 1943 roku dołączył do naszych oddziałów. Był on wielkim patriotą, który rezygnował z własnych wygod dla dobra Ojczyzny. Był to dla mnie – zaraz po "Podkowie" – wzór do naśladowania. Już po wojnie dowiedziałem się, że został wierny przysiędze żołnierskiej aż do końca – 7 marca 1949 roku poniósł śmierć z rąk funkcjonariuszy bezpieki.

P.M: Jednak nie codziennie odbywały się bitwy i starcia z Niemcami czy Ukraińcami. Jak zatem wyglądał typowy partyzancki dzień?

B.P: Wstawaliśmy wcześniej rano. Zaraz potem odbywała się zbiórka. Podczas niej nasi dowódcy sprawdzali, czy wszyscy są obecni i przydzielali nam różnorakie zadania. Potem zazwyczaj odbywało się skromne śniadanie, któremu towarzyszyły liczne przśpiewki żołnierskie. Następnie mieliśmy musztrę, czyli ćwiczenia mające

na celu przyspieszyć wykonywanie rozkazów. Jeśli sami nie ćwiczyliśmy, to instruowaliśmy rekrutów. Potem mieliśmy czas wolny aż do obiadu, który też był skromnym posiłkiem. W następnej kolejności zajmowaliśmy się sądzeniem dezerterów i schwytanych Niemców i Ukraińców, a także polskich donosicieli i volksdeutschów. Następnie wykonywaliśmy na nich wyroki, najczęściej były to wyroki śmierci. Po ich wykonaniu wszyscy zbierali się i jedliśmy kolację. Wkrótce potem następowały potańcówki przeplatane śpiewem. Podczas gdy jedni tańczyli, inni rozmawiali o swojej przeszłości, o swoich rodzinach i bliskich. Gdy już wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni, stawaliśmy do końcowego raportu i kładliśmy się spać.

P.M: Z tego co Pan mówił wcześniej wynika, że w pańskim oddziale były stałe problemy z wyposażeniem. Jednak broń w ekwipunku każdego żołnierza to podstawa. Jak zatem wyglądało uzbrojenie oddziałów Armii Krajowej?

B.P: Nasza broń to w była w większości broń zdobyczna. Duża ilość żołnierzy posiadała różnego rodzaju pistolety maszynowe, m.in. MP17 czy MP18 jak również broń krótką (w większości były to Visy). Niektórzy posiadali broń z "wyższej półki", czyli broń zrzutową. Były to Thompsony i Steny. Prawdziwym rarytatem dla nas stanowiły pistolety zdobyte na niemieckich oficerach. Zazwyczaj zatrzymywaliśmy je dla siebie i nikomu nie mówiliśmy o ich posiadaniu. Były to na ogół pistolety Parabellum. Posiadaliśmy również broń cięższego typu, czyli ckm-y i rkm-y. Bardzo przydatną bronią w walce z Niemcami okazały się też PIAT-y, czyli granatniki. Siały one największe "żniwo" podczas walk i to ich najbardziej się oni obawiali. Gdy mieliśmy problemy z brakiem amunicji, atakowaliśmy niemieckie magazyny. Pociski zawsze pasowały, gdyż w większości stosowaliśmy niemiecką broń.

P.M: W 1945 roku zakończyła się II wojna światowa. Był to czas przez wielu oczekiwany, ludzie wychodzili na ulice i przepędzali hitlerowców ze swoich miast, wszyscy cieszyli się z odzyskanej wolności. Jednak komunikaty z Zachodu były bardzo niepokojące. Okazało się, że wkrótce naprzeciw, ze Wschodu, wyłonił się następny ciemniejszy – Rosja Sowiecka. Co to zmieniło w Pana życiu?

B.P: Muszę na początku zaznaczyć, że opuściłem Armię Krajową już w lipcu 1944 roku. W zasadzie to nasza formacja uległa rozwiązaniu przez Sowieców... Musieliśmy złożyć broń, czyli zostaliśmy zdemobilizowani i rozbrojeni. Od razu poczułem gniew, ale i bezsilność... Po wojnie próbowałem prowadzić normalne życie. Byłem jednak zmuszony do nie ujawniania nikomu mojej przynależności do Armii Krajowej. Gdyby to wyszło na jaw, najprawdopodobniej "zajęło by się" mną Urząd Bezpieczeństwa i skończyłbym jak wielu moich kolegów, m.in Jan Turowski o pseudonimie "Norbert", czyli poszedłbym do więzienia. Dzięki moim staraniom i skrzętnym ukrywaniu mojej przeszłości, udało mi się przeżyć ten czas spokojnie i bezpiecznie.

P.M: Pragnę Panu gorąco podziękować za to, że zechciał Pan opowiedzieć mi o swoich przeżyciach związanych z Armią Krajową i powojennych losach. Pańskie zachowanie powinno być wzorem dla współcześnie żyjących ludzi, a zwłaszcza młodzieży, która urodziła się już w wolnej i suwerennej Polsce. Niestety, niektórzy Polacy dalej trwają w przekonaniu, że Żołnierze AK, Żołnierze Wyklęci, to bandyci i wrogowie Polski. Musimy bronić prawdy historycznej, którą wielokrotnie próbowano zmieniać i przeinaczać, musimy walczyć o honor tych, bez których nie żylibyśmy dzisiaj w wolnej Polsce. Musimy pamiętać o ich poświęceniu, trudzie i przelanej krwi oraz starać się, by to wszystko nie poszło na marne. Jeszcze raz bardzo dziękuję za rozmowę.



Bolesław Polakowski "Wiarus" stoi drugi od lewej strony

Bibliografia:

1. Bolesław Polakowski "Dziennik z lasu", Zamość 2015
2. Jan Turowski, "Historia OP 9", Zamość 2017
3. http://przewodnikzamosc.pl/?p=4554&fbclid=IwAR1HFFG45OYCOsSIZvM_AYbL5PUvWcBbAY1FSpqdOadSi6LE6XPF_EmkMz4
4. https://pl.wikipedia.org/wiki/Hieronim_Dekutowski